№ 8 WARSZAWA d. 9 (21) Lutego ROKU 1874



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj, lub wprost do Redakcyi w Warszawie, Przedpłatą dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

PROSTACZEK.

Czasem usiądę sobie pod płotem,
Głowę pochylę na dłonie:
Godziny płyną, ja nie wiem o tem
Bo myślą po świecie gonię.
Dziwne te myśli, lecą w przestrzeni
Jedna się z drugiej wyłania;
Raz promyk szczęścia błyśnie wśród cieni,
Znów mrok blask wątły pochłania.
Jam nie uczony; rodzice kmiecie
Zmarli już dawno przed laty,
A jam się tułał po bożym świecie,
I w końcu do tej wszedł chaty.
Tu mnie przyjęto i strawę dano,
I kąt do spania w stodole:
Jestem pastuszkiem, a w każde rano
Pędzę me stadko het w pole...
Nikt mnie tu nie zna, nie znam nikogo
Nie mam ni Ojca, ni Matki:
Szedłem z daleka szeroką drogą,
Wziął mnie gospodarz do chatki,
Dał kromkę chleba, pod żłobem kątek,
Ja mu owieczek pilnuję,
Zawsze sam jestem, lecz myśli wątek
Dziwnie się w głowie mej snuje.
Siedzę i dumam godziny całe
I nic nie mogę wymyśleć,
Bo nic nie znając, nie wiem przyczyny,
Którąby tajnie określić.
Czasem jam wesół, wygrywam pieśnie
Na tej fujarce wierzbowej,
Czasem me serce zadrga boleśnie
I zła myśl przyjdzie do głowy.
Czemu się smucę, lub czemu płaczę
W każdej odgadnąć chcę chwili:
Owieczka nie wie dla czego skacze,
Nie wie ptak za czem wciąż kwili,
Jam jak zwierzątko: jadam, śpię, chodzę,
Za owiec śledzę gromadką,
Idę jak drudzy po życia drodze,
A życie dla mnie zagadką.
Nie wiem dla czego słońce nam świeci,
I gwiazdy błyszczą w przestworze,
Dla czego ptaszek wysoko leci,
A człowiek wznieść się nie może,
Dla czego mają dostatki jedni,
Wszystko im w rękę się garnie,
A drudzy głodni, nadzy i biedni,
Srogie przechodzą męczarnie.
Po co noc czarna a nie dzień zawsze,
Po co niedola gdy szczęścia trzeba,
Czemu dla jednych losy łaskawsze,
Gdy drugim skąpią kawałka chleba.
Uszami słyszę i oczami widzę,
A w duszy wieczne ciemności:
Ja nic nie umiem, sam sobą się brzydzę,
Sam z sobą jestem w sprzeczności.
Wciąż rwie się naprzód myśl nieskończona,
Wciąż szlaki zbadać chce jasne;
A przed tą myślą niby zasłona,
Stoi nieuctwo me własne.

Ludwik Niemojowski.

Kazań. d. 22 Września 1873 r.

URYWKI Z PAMIĘTNIKA
PEDAGOGA NATURALISTY

przez **W. T.**

Zapewne tytuł cokolwiek was zaciekawił?—Cieszy mnie to niewymownie: dziś, w tem największa sztuka, żeby umieć przyciągnąć, zainteresować a potem... wyśmiać gdzie cichaczem. Naturalistą, nie wiem jak kto, ale ja nazywam człowieka, który naturalnym sposobem jest wszystkiem czem zechce, nawet pedagogiem. Zostałem więc nim, wprawdzie nie mam talentu do pióra, ale wymagania go to himera starych niedołęgów. Wojowanie talentem jak bohaterstwo starożytności i rycerstwo wieków średnich przebrzmiało bezpowrotnie. Dziś sztuka zabawką, poezya majaczeniem, twórczość marzycielstwem, miłość gorączką, poświęcenie głupstwem, pocóż więc tu talent, kiedy mi wcale nie idzie o jeden z tych wrzodów społecznych!

Powiadają, że w starożytności, słynne zdanie wypisane nad świątynią delficką, *znaj siebie samego*, uważane było za największą mądrość. Dzieciństwo! Co do mnie przynajmniej, znam siebie tak dokładnie, że spojrzawszy w lustro nigdym się nie zawahał kogo widzę. Raz tylko doznałem pod tym względem pewnej wątpliwości. Było to po całonocnej bachandryi... ale nie uprzedzajmy wypadków. Z tego krótkiego wstępu poznaliście zapewne, że z niepospolitą osobą macie do czynienia: jaką więc drogą przyszedłem do tej godności, jak się wyrabiałem i przerabiałem zanim wziąłem się do pióra, przyznacie, że godnem jest waszej wiadomości. A praca to była prowadzona od najmłodszego wieku, od chwili gdy wyszczebiotaniem: *mama, tata i daj!*—rozradowałem serca wszystkich domowników. Chcecie z waszych synów i córek doczekać się podobnej pociechy, chowajcież ich jak ja byłem chowany, a nadzieja was z pewnością nie omyli. Pamiętam, że jak tylko zacząłem nadsłuchiwać co drudzy mówią, uderzyło moją uwagę, gdy raz matka wpatrując się we mnie rzekła z przejęciem:

— Co to za rozumek w tych oczkach!

Znaczenia tych słów nie pojąłem wtenczas, czułem tylko, że są pochwałą, a gdy ciocia dodała, że ten rozumek w oczkach moich już dostrzegała od najpierwszej chwili urodzenia, uśmiechnąłem się radośnie, i trzasnąwszy biczykiem, brykałem jak konik. Siostrze mojej Maryni nie dostała się ta pochwała; zastanowiło mnie to, a gdy chciała razem ze mną biedz w parze, odepchnąłem ją, sam nie wiem dla cze-

go, jakby z przekonania, że niegodną jest mego towarzystwa.

Później scena podobna już się więcej nie powtórzyła, ale ten wyraz *rozumek* tak mi utkwił w pamięci, że go ciągle miałem na myśli i bawiłem się nim jak zabawką. Dopiero gdy namawiany do nauki abecadła, opierałem się wykrzywiając niemiłosiernie, a Matka dla zachęty rzekła, że trzeba się uczyć, żeby mieć rozum w głowie jak ojciec, zrozumiałem, że rozum płynie z nauki, i że ja go mam bez tego nudziarstwa nad książką, bo tak powiedziała kiedyś mama, a ciocia potwierdziła.

Pewny też siebie, naukę uznałem za zbyteczną, zasiadałem do niej jak na katusze i zawsze sobie mówiłem.

— Marynia niech się uczy, bo rozumku nie miała w oczach jak się urodziła, ale ja nauki nie potrzebuję. Jak urosnę to i mój rozumek na rozum podrośnie.

Prawdziwe też cuda dokazywałem przy elementarzu, zakończane zwykle kuksańcem, którego bardzo pragnąłem. A stało się to bardzo naturalnym sposobem.

Pierwszy ten kuks w życiu mojem zrobił pewne wrażenie.

Nie tyle z bólu jak ze wstydu posmutniałem, ale gdy nieśmiały i milczący zbliżyłem się do stołu, przy którym siedzieli rodzice z całą rodziną, i zobaczyłem ich wszystkich wesoło rozmawiających, a w dodatku przygotowaną dla mnie szklankę kawy z grubym kożuszkiem i bułką nasmarowaną masłem, ośmieliłem się jakoś i zacząłem pałaszować. Nie byłem jednak pewny czy kuks nie zostanie przypomniany, zajadałem więc milczkiem.

Poczciwa matka wybawiła mnie i z tego kłopotu: pogładziła po buzi, udzielając przestrogę z największą dobrocią, abym był ostrożnym i nie polał sukienki.

Rozgadałem się też niebawem, a nie mogąc darować Maryni, że mnie przy nauce nie naśladuje i odbyła ją bez kuksa, którym mnie obdarzono, wykrzywiłem się na nią, tak jakoś dziwnie pokazując figę, że wszyscy roześmieli się, a matka rzekła.

— Ten chłopiec to wyraźnie urodził się na aktora. Przybieranie min najdziwaczniejszych z taką mu przychodzi łatwością, że nawet stary nie umiałby nic podobnego zrobić.

Obecni potwierdzili to przypuszczenie macierzyńskiej miłości, a ja z tego wszystkiego wyniosłem to przekonanie, że opór mój przy nauce nie jest nic złego, że kuks nie jest karą, skoro mnie nie ominęła porcya podwieczorkowa i kares matki, i że urodziłem się na aktora, którym zostanę jak tylko urosnę. Każdego też dnia nauka kończyła się kuksem a ja zmiatałem szczęśliwy, że się tak łatwym sposobem można od pracy przy książce uwolnić.

Czasem jednak ojciec ujrzawszy moje szprynce, gniewał się nie na żarty i groził srogą karą. Wówczas zawsze w obronie mojej stawała matka i płaczącego ze strachu brała na kolana i ocierała łzy mówiąc:

— No cicho Jasieczku, ojciec tylko żartuje bo wie że uczyć się będziesz i *kiedyś* staniesz się bardzo rozumnym.

I zgadła poczciwa matka, z tą tylko różnicą, że owe *kiedyś* bardzo się długo przewlekło.

Groźby te ojca, i następne nie zwracanie na mnie najmniejszej uwagi, a pieszczoty i obrona matki, wyrobiły we mnie to przekonanie, że ojciec mnie nie kocha tylko matka, że ojciec jest zły a matka dobrą, i że ojca trzeba się bać i wystrzegać, a matkę kochać i nic się jej nie lękać.

I tak szło dalej: przy ojcu byłem trusiątkiem, przy matce bisurmanem, a jeżeli czasem zagrożono skargą, matka zaraz łajała grożącego, zwracając uwagę że jako obecna, sama najlepiej może osądzić moje postępowanie.

Jaka była moja dalsza nauka łatwo się domyślić. Przymus, groźby, podarunki, obietnice pchały ją z dnia na dzień, z roku na rok. Zawsze słyszałem tylko, a ucz się, a nie próżniacz, a nie bądź osłem!—a nigdy nikt mi nie wyłożył jasno, dla czego mnie tak gwałtem do nauki zmuszają. Wprawdzie mówiono mi często, że nauka chleb daje i że uczyć się trzeba całe życie, ale nie widząc w domu nikogo któryby się na prawdę uczył, i wszystkich czytających tylko gazety i powieści które i ja bardzo lubiłem, a jednak mający chleb ów chleb tak upragniony, nabrałem przekonania, że tylko młodość skazana jest na tę mękę naukową wymyśloną głównie dla tego, żeby dzieci utrzymać w spokojności. Wreszcie mówiłem sobie: będę aktorem, umiem już czytać i pisać to i cóż mi więcej trzeba.

Czytałem też dramata i komedye, wyjątków uczyłem się na pamięć, a nawet przygotowawszy się raz w wielkiej tajemnicy, odegrałem wraz z Marynią parę scen komicznych, za co obsypano nas oklaskami a mnie matka wyściskała, wycałowała i nazwała swoją jedyną pociechą. Równe powodzenie z aktorstwem miałem przy powtórzeniu scen tych w obec liczniejszego zgromadzenia. Chwalono, podziwiano, ojciec nawet szepnął cichaczem do jednego z gości.

— Co to za głowa u mego Jasia, to rzadko! Byle tylko dostał się do jakiej komedyi i rzucił okiem, już ją umie całą na pamięć.

Usłyszałem tę pochwałę i zapamiętałem: o mojej zaś niechęci do nauki książkowej coraz mniej mówiono. Zmieni się to z czasem, powiadano, a teraz niech się uczy jak chce byle nie próżniaczył.

Skończyłem wreszcie nieszczęśliwe szkoły czyli przeszedłem przez nie piecem, i zaczęła się rada co dalej robić? Ale o tem powiem wam w następnym urywku.

LALKI.

SCENY PRZEDŚLUBNE

PRZEZ

J. J. KRASZEWSKIEGO.

Inter calicem et os multa cadunt.
Przysłowie.

(Dalszy ciąg.)

Widzimy z tych próbek głębokich rozmyślań narzeczonego Baronównej, iż nie brał zbytnio do serca nieszczęśliwego położenia swojego. Niekiedy jednak bodło go to, że będąc ani brzydkim, ani niezgrabnym tak jakoś mało zrobił wrażenia.

— Przy dłuższem pożyciu, rzekł, przekona się, że nikogo z większym taktem, elegancją i szykiem nademnie nie znajdzie. *Coute que coute* chyba by smaku nie miała, poznać się na mnie musi... Pochlebiam sobie!

Podwoję starania, aby mnie nikt nie przeszedł ani ubiorem, ani manierą, ani delikatnością.

Uśmiechnął się sam do siebie w zwierciadle. W istocie trzeba mu było oddać sprawiedliwość, że w swoim rodzaju był egzemplarzem przewybornym, i że zrównać mu na polu jego popisów było trudno.

Tegoż dnia jeszcze ożywiony dobrą nowiną, posłał stary hrabia list do Gromów z podziękowaniem i życzeniem, aby Baronówna jak najbliższy termin ślubu oznaczyła. Jak zwykle podyktował go doktorowi, podpisał i odprawił. Ku wieczorowi, skutkiem zapewne żywego zajęcia i lepszego humoru, stan chorego polepszył się też znacznie. Dr. Pęklewski był uszczęśliwiony, puchlina widocznie schodzić zaczynała, był to wypadek tak niespodziewany, tak szczęśliwy, że hrabia sam poruszony nim przyznał nadwornemu swemu lekarzowi, genjalność i naukę nadzwyczajną. Tego wieczora mógł trochę posiedzieć i jadł trochę więcej niż zwykle z apetytem, jakiego dawno nie miał.

Tryumf Pęklewskiego był ogromny, ale on sam nie bardzo go sobie jakoś wytłomaczyć umiał. Jego podobno dziwiło to nie mniej jak wszystkich.

Następnego dnia nadeszła odpowiedź z Gromów. Baronówna oświadczała, że się zastosuje do woli opiekuna i terminu oznaczać sama nie chce. Trochę to zniecierpliwiło chorego, kazał przywołać Romana, pokazał mu list i rzekł do niego.

— Jedźże sam, umów się z nią, poproś aby nie odkładała. Jest mi wprawdzie cokolwiek lepiej, ale na to wiele rachować nie można Pod tym pozorem zobaczysz ją dłużej, boć trzeba się zacząć poznawać...

Roman posłuszny jak zawsze, odebrawszy rozkaz, skłonił się, zawołał François, rozrachował godziny, aby przed wieczorem stanąć i natychmiast się wybrał. Na wyjezdnem hr. Filip powtórzył mu jeszcze raz:

— Przywieźże mi termin stanowczy.

— Ale jakże stryj by sobie życzył?

— Jutro nie podobna, za tydzień może się zbierzemy, za dwa kto wie czy nie byłoby zapóźno... Zobaczysz co ci powie. Nie chcę jej w tem zadawać gwałtu.

Z tem Roman wyruszył do Gromów i tym razem na drodze nie spotkawszy nikogo, przybył przed samą wieczerzą. Zameldowano go pani, poszedł się ubrać i znowu we fraku z cylindrem pod pachą, ze szkiełkiem na sznurku zjawił się w salonie, w którym zastał oprócz Hermy i gospodyni, wcale niespodziewanego gościa, na którego widok niezmiernie się zmięszał. Były to odwiedziny drugie pana Bończy, który już tym razem został na wieczerzy. Po przywitaniach, Bończa nadzwyczaj serdecznie, czule, prawie protekcjonalnie począł przyjmować hr. Romana, który do reszty zesztywniał.

— Nie wiedziałem że i tu znajomy... rzekł sucho.

— Przyjechałem od męża pani Grzegorskiej po list...

— A! a! odparł Roman i siadł nieco na uboczu.

Bończa trochę także fantazyi stracił. Lola mogła ich teraz obu porównać wygodnie, *bec a bec* siedzieli przy sobie: porównywała ich też okiem znawcy Herma, znajdując że Roman był dystyngowańszy a Bończa zabawniejszy. Zadawała sobie pytanie, któregoby na męża wybrała i musiała przyznać, że wszystko mówiło za Romanem. Ten kwalifikował się pod pantofel najdoskonalej, gdy przygniecenie Bończy, nader zdawało się wątpliwem.

Jakie uwagi czyniła Lola, nikt z niej odgadnąć nie potrafił, tak doskonale odgrywała obojętność.

Na pierwszym wstępie zapytała o zdrowie opiekuna, hr. Roman odpowiedział iż miał się nadspodziewanie dobrze i że przysłał go o tem ją zawiadomić.

Na tem chwilowo przerwała się rozmowa.

— Znam hr. Filipa, odezwał się Bończa, to człowiek żelazny, jestem pewny że i teraz zupełnie wyzdrowieje. Zapadał już nieraz ciężko, zawsze chorobę zwyciężył energją i wolą życia.

Jakkolwiek pierwszy raz nie powiodło się Bończy w Gromach i powracać już pono nie miał zamiaru, rozmyślił się potem, przyjechał i potrafił najrozmaitszych używając do tego środków wciągnąć Baronównę w dosyć żywą rozmowę. Był to już teraz całkiem swój i obracał się swobodnie. Zdziwiło to nieco Romana, nie bardzo mu się nawet podobało, ale przełknąć musiał, nic niepokazując po sobie.

B ończa wyczerpawszy z tą wizytą powody bywania, myślał tylko jakby sobie wstęp zapewnić. Gdy ciocia Nieczujska przyszła do salonu, manewrował tak,

aby na konferencyę tyczącą się listu wyprowadzić panią Hermę do drugiego pokoju.

Uśmiechając się wyszła figlarna kobiecina.

— Cóż mi pan powiesz? spytała, mów prędko, nie chcę aby mnie posądzano, że mam z panem jakieś tajemnicze stosunki. Gdzieindziej nicbym sobie z tego nie robiła, ale tu nie chcę...

— Więc krótko a węzłowato, rzekł Bończa, proszę panią o pomoc, o ratunek, jestem śmiertelnie zakochany?

— W kim? w cioci Nieczujskiej czy we mnie? spytała Herma. Ciocia za pana nie pójdzie, a ja się dla niego nie rozwiodę.

— Pani mnie nie chcesz rozumieć!

Herma parsknęła śmiechem głośnym.

— Dajże mi pan pokój z miłością!! Pan, pan zakochany! pan który jesteś największym w świecie i w Galicyi bałamutem... Za kogo mnie pan bierzesz...

Bończa zmilczał.

— Mów mi, że się chcesz ożenić, bo panna posażna, a przytem piękna, co zawsze dobrze... to rozumiem.

— No, gdyby tak było? przypuśćmy, zawołał Bończa.

— To by było przynajmniej szczerem wyznaniem. Ale cóż ja na to poradzić mogę, w pokoju siedzi narzeczony.

— Narzucony nie narzeczony, panna go musi nienawidzieć... Usiłuj pani tylko namówić ją, by ślub zwlekała. Doskonały pretekst bo stary hrabia ma się lepiej, a ratuje się zwłoką od śmieszności.

Pani na to wpłynąć możesz.

— Cóż panu po zwłoce?

— Ja nie tracę nadziei.

— A ja dla pana nie mam najmniejszej. Powiem otwarcie, gdybym była w miejscu Loli a miała do wyboru pomiędzy hrabią a panem, wybrałabym pierwszego.

Bończa zagryzł usta i wyprostował się dumnie.

— Wiesz pan dla czego? dodała śmiała Herma, pan masz minę tyrana i despoty, a tamten potulnego chłopięcia. Juściż z dwojga, kobieta zawsze, jeśli ma rozum, wybiera złe mniejsze.

— Tak się pani zdaje? spytał urażony nieco Bończa...

— Tak się mnie zdaje i jej zdawać musi.

— Lecz cóżby to pani szkodziło wpłynąć na zwłokę? ja o nic więcej nie proszę. Roman niechybnie przybył naglić o pośpiech. Baronówna może lada czem się wymówić.

— Zobaczymy, rzucając wzrok dziwny na suplikanta odezwała się Herma wchodząc do salonu.

Podano wkrótce wieczerzę, przy której ogólna rozmowa dosyć była ożywioną, tylko Roman widocznie przybity, mało się mięszał do niej. Lola mówiła wiele, nie chcąc widzieć że hrabia coraz bardziej wyglądał ponuro.

Po wieczerzy musiał Bończa pożegnać się i odjechać.

Romanowi nie wypadało też tego dnia zagajać rozmowy, i po jego odjeździe wziął kapelusz, ażeby wyjść także. Lola zajęta jakąś żywą rozprawą, o haftach z przyjaciółką, mało nań zwracała uwagi, powiedział dobranoc i odszedł.

— Przyjechał niezawodnie nudzić mnie o ten termin znowu—odezwała się Lola gdy odszedł.

— Cóż myślisz? spytały razem Ciocia i Herma.

— Sama nie wiem.. ale trochę mnie to niecierpliwi.

— Dałaś słowo, zawołała Nieczujska, nie ma już więc co zwlekać...

Lola spuściła oczy.

— Lecz jeżeli opiekun ma się lepiej i wyzdrowieje, po cóż tak spieszyć.

— O! ja głosuję z Lolą, podchwyciła Herma—po co spieszyć, zawsze się zawcześnie idzie za mąż.—Radziłabym nie gniewając chorego i nie odwołując danego słowa, coś takiego wymyślić aby to się sobie zwlekło...

Nieczujska ruszyła ramionami i załamała ręce, poczęła huzarskim krokiem chodzić po pokoju...

— Co się to dziś na świecie dzieje! co się dzieje! zawołała—nigdzie najmniejszego sensu... Żenią się bez rozmysłu, bez przywiązania, nie znając, nie starając,—jednego dnia chcą, drugiego nie chcą .. nie mają odwagi ani wypowiedzieć posłuszeństwa, ani dotrzymać słowa. Niechby była Lola wbrew i otwarcie oświadczyła—nie chcę, możebym nie pochwaliła tego, bo chłopiec jakiś dobry, ale bym zrozumiała—a ta—przyrzekła i teraz bałamuci. Cóż to znaczy...

— Moja Ciociu—odparła Lola, to znaczy, że choremu nie chciałam czynić przykrości, a dziś—dziś radabym choć się lepiej rozpatrzeć w tem co czynię.

— At! dzieci jesteście i po wszystkiem—zawołała Nieczujska... ten był narzucony więc niemiły, pokazał się drugi, furfant zadłużony, spekulant co się o każdą posażną pannę stara... i gotowa moja Lola dać mu się na przekór bałamucić. Ja tego nie ścierpię, nie powiedziawszy co myślę i czuję. To mówię ci—furfant jest..

Lola się uśmiechnęła.

— Jeśli mnie Ciocia posądza, że podobny jegomość mógł na mnie zrobić wrażenie, doprawdy gniewaćbym się miała prawo. Nie chcę ani tego ani tego...

Są czasem dziwne trafy i przygody, które w powieściach uchodzą za nieprawdopodobne wymysły, gdy w rzeczywistości powszedniej tłomaczą się fatalizmami. Jednym właśnie z takich wypadków było, że w chwili gdy się ta rozmowa toczyła, gdy zegar dobijał jedenastą, otworzyły się drzwi i Kamerdyner wszedłszy, bez rękawiczek, widocznie pomięszany, począł coś szeptać cioci Nieczujskiej na ucho, która zdawała się go wcale nie módz zrozumieć.

Z ust jej wyrywały się tylko słowa nie mające związku.

— Co?—Gdzie—ale to nie może być! Jak się nazywa?—o tej godzinie! Cóż to znowu takiego!

— Cóż się stało! zawołały razem zrywając się z siedzenia Lola i Herma .. Kamerdyner odstąpił krok.

— Mów, panie Zambrzyski—odezwała się gospodyni—cóż to, tajemnica?

— Ale żadna tajemnica! tylko kat wie co, czego ja zrozumieć nie mogę—przerwała Ciocia, ruszając ramionami. Mów panie Zambrzyski.

Kamerdyner wyprostował się, chrząknął i począł:

— Nie ma tak dalece nic—rzekł, tylko do pani Kapitanowej gość przybył...

Podobno zbłądził w drodze czy coś i oto tak późno.....

— Gość? kto? zapytała Lola.

— Ale ja go nie znam!! to jakieś bałamuctwo.. przerwała Nieczujska.

— Ja tam nie wiem co jest, ale najętym żydkiem z ...... na furce przyjechał młody człowiek. Prosi aby się mógł widzieć z panią Kapitanową i opowiada się jako synowiec jej.

— Żadnego synowca nie mam i nie znam! ofuknęła Kapitanowa, co znowu! przybłęda jakiś! Brat mój nieboszczyk nie był żonaty.

Herma po swojemu śmiać się mocno zaczęła.

— A! to doskonała awantura!! Gdzież ten nieznany synowiec?

— Czeka przed oficyną z żydem i furą, rzekł nieco pogardliwie uśmiechając się Kamerdyner.

— Otóż proszę! krzyknęła Nieczujska, jeszcze tego brakło... ale zmyjęż mu głowę dobrze... bo to nie może być nie może być.

I ruszyła się ku drzwiom.

— Ciociu! biegnąca za nią wołała Herma, my tu poczekamy, przyjdź nam powiedz co się stało.. A! gdybym też mogła podsłuchać jak go Kapitanowa przyjmie.

Lola nie mówiła nic; siadły dwie przyjaciołki na cichą rozmowę. Ciocia wybiegła... Kamerdyner za nią drzwi zamknął i poważnie się wytoczył.

W oczekiwaniu końca tej osobliwszej przygody przyjaciołki siedziały w salonie, upłynął kwandrans, upłynęło pół godziny, Cioci z powrotem nie było. Herma zadzwoniła.. Kamerdyner się stawił.

— Cóż się stało z Kapitanową? zapytały obie.

— Nic nie wiem, rzekł Zambrzyski .. nie mogłem iść za nią! Słyszałem tylko głos jej zrazu bardzo żywy, potem coraz umiarkowańszy, weszła z podróżnym do gościnnego pokoju w oficynie, kazawszy dać światło... i o ile mogłem dostrzedz przez okna Kapitanowa płacze i ściska przybyłego. Musi to być w istocie jakiś synowiec.

— Jakże wygląda? biednie? zapytała Herma.

— Dosyć przystojny i raźny mężczyzna... odparł Zambrzyski, ale koło niego ubogo.

Lolę to zaniepokoiło.

— Idź, panie Zambrzyski, odezwała się i powiedz pocichu Kapitanowej, że ją proszę jeśli to jej krewny, aby go za mojego gościa uważała; a panu polecam aby miał wszelkie wygody...

Kamerdyner wyszedł a w kilka minut dał się słyszeć łatwy do rozpoznania chód pani Nieczujskiej, która otworzyła drzwi i weszła cała spłakana.

Obie przyjaciołki pośpieszyły naprzeciw niej, Kapitanowa padła na krzesło i milczała długo.

— Któż to jest? co to jest? poczęła Lola.

— A! moja dobrodziejko, najmocniej cię przepraszam, odezwała się Nieczujska, daruj mi ten klopot w domu, któż się tego mógł spodziewać! Jest to w istocie synowiec mój, ma na to dowody. Wychowany przez krewnych swej matki w Prusach, biedny chłopak o którego istnieniu nawet nie wiedziałam. Gdzieś dopytał, że żyję i przyszło mu do głowy mnie odwiedzić. Ja tu sama na łasce i będę wizyty przyjmować!

— Ale co też ciocia mówi, oburzyła się Lola, podbiegając ku niej: jej gość jest moim gościem. Proszę mi krzywdy nie czynić ceremoniami, za które gniewać się będę.

I uściskała ją serdecznie.

— Ciocia mi da słowo, że go nie puści ztąd, póki sam nie zechce jechać. Niech sobie spocznie... niech się nim Ciocia nacieszy.

Kapitanowa porwała się z krzesła i poczęła Lolę ściskać z rozrzewnieniem i gwałtownością sobie właściwą.

— Poczciwe z ciebie dziecko! Bóg ci zapłać! zawołała. Ja ani on nie będziemy ci zawadzali. Pojedzie prędko.. to chłopak pracowity i ma zajęcie, ale to nie do waszego towarzystwa człowiek... ja sobie z nim jutrzejszy dzień w oficynie przebędę i niech rusza. Dzięki Bogu, choć wygląda bardzo sobie po prostu, ma słyszę zakład swój własny garbarski, w którymś miasteczku w Wielkiejpolsce i dobrze mu się wiedzie. Uniwersytet skończył, widać nie głupi, ale wygląda jak hoży parobek! Mój Boże! mój Boże na co to my zeszli! dokończyła ciocia Nieczujska.

— Ja na to nie pozwolę, aby się Ciocia z nim chowała, przecież krewni jesteśmy, przyjąć go potrzeba jak należy... To moja rzecz, odezwała się Lola.

Jeszcze raz uściskawszy Baronównę Ciocia wybiegła do oficyny, niespokojna Lola powtórzyła rozkazy Kamerdynerowi i koniec końcem wszystko we dworze w krótce ucichło, a ciocia Nieczujska nie rychło wróciła do swego pokoju.

Nazajutrz nie taiła się z tem ani Lola ani Herma, że tego garbarza wczorajszego bardzo widzieć pragnęły, choćby dla ciekawości, jak szlachcic na rzemieślnika przerobiony wygląda.

Ale cały ranek Nieczujska z nim siedziała w oficynie. Gdy nadeszła godzina salonu i panie do niego zeszły, w kilka minut zjawił się nader smakowni ubrany hrabia Roman. On i François od rana układali jak się miał przyodziać, co włożyć i których użyć perfum, aby dwa razy jednych nie powtórzyć. Wybrano: *Cuir de russie*.

Roman mimo trosk jakie go dotykały wyglądał świeżo, ładnie, elegancko. W chusteczce wpięta szpilka wyobrażała żokejskie trofea bardzo misternie wyrobione, guziki koszuli składały złote podkowy nabijane brylancikami. Na lakierowanych trzewiczkach cudownej roboty, miał jak ulane kamaszki, dobrane barwą do rannego stroju w ciemno stalowym kolorze. O włosów rozdział postarał się François, czynił mu honor, żaden fryzier by się go nie powstydził. Z tyłu szczególniej pręga ta miała efekt wielce kunsztowny... Rozumie się że strój, krój, szyk sukni Romana nic nie pozostawiał do życzenia...

Jakby na przekorę, spodziewającemu się stanowczej rozmowy i bliskiego poznania Romanowi, gospodyni posłała natychmiast do oficyny, zapraszając koniecznie gościa wczorajszego na pokoje...

Wprowadziła go z sobą zmieszana nieco ciocia Nieczujska, a to pomieszanie łatwo sobie wytłomaczyć tem, jak się ten nieszczęśliwy nocny przybyły wydał przy nieposzlakowanej elegancyi hrabiego Romana.

Ratowało go to nieco, że chłopak był zbudowany jak Antinous, zdrów, silny, barczysty i wcale pięknych rysów twarzy, w której widać było intelligencyę i rozwinięcie umysłowe. Lecz zresztą wyglądał na tak dziwne stworzenie, iż hrabia zobaczywszy go wchodzącego na pokoje niemal osłupiał. Wziął go za pisarza prowentowego.

Pan Adolf Nieczujski, wcale niezmięszany wszedł za Ciocią, zaprezentował się nadzwyczaj śmiało i raźnie odezwał do gospodyni.

— Niech mi Baronówna raczy przebaczyć ten najazd... Zabłądził mój nieszczęsny woźnica i przywiózł mnie w niewłaściwej godzinie... tak żem tu niemałego narobił stryjence... i pani kłopotu...

Nie mogłem się, podróżując po kraju dla mojego interesu, oprzeć chęci poznania jedynej najbliższej krewnej.

Mówiąc to śmiał się dobrodusznie, Lola zlitowawszy się widocznie nad jego położeniem, znalazła się bardzo przytomnie, odpowiedziała mu grzecznie, zaprosiła go aby się w domu jej jak u krewnej uważał, słowem zrobiła co mogłoby mu natchnąć otuchę. Poskutkowało to widać, gdyż położył zaraz swój okropny z wielkiemi skrzydłami kapelusz i niemniej pierwotne rękawiczki na krzesełku, a sam, mimo że go zapoznano z hrabią, że się znalazł nagle w tak dystyngowanem towarzystwie, zdawał się wedle wyrażenia Hermy, nic sobie z tego wcale nie robić.

Spojrzał tylko na hrabiego, który mu się zdala ukłonił nie odając naturalnie ręki, i jakby go to nic a nic nie obchodziło. że miał surdut czarny zmięty nieosobliwie zrobiony, krawatkę bez szpilki, a kamizelkę nieforemną i breloki jakieś wcale nie piękne, siadł między paniami nie tracąc ani humoru ani miny.

Hrabia przypatrywał mu się jakby wykopalisku przedpotopowemu: nie był to człowiek jego świata, widzieć go w salonie ocierającego się tak poufale o siebie mocno go bolało..

Ale musiał to znieść nie dając znać po sobie jak go to obeszło.

Herma wpatrywała się w przybysza z ciekawością psotnicy, której się trafił motyl do wsadzenia na szpilkę, Lola z pewnem zajęciem nieukrywanem wcale. O hrabi Romanie zapomniano na chwilę...

Zwykle w salonie, jak to u nas wszędzie po domach zamożnych się trafia, rozmowa toczyła się albo po francuzku lub kaleczoną francuczyzną. Poczuli jednak wszyscy litując się nad nieszczęśliwym garbarzem, że dla niego wypada mówić po polsku.

— Jakże się panu podobała nasza oklica? zapytała Lola.

— Piękniejszej w kraju nie widziałem, odparł Nieczujski, co za dwory i pałace! Dziwi mnie tylko że stan przemysłu i byt ogólny nie zupełnie odpowiada tej pozornej wspaniałości... Kraj to bezwątpienia mający wielką przyszłość.

(d. c. n.)

Sigurd Wiśniowski

jako podróżnik.

(Dokończenie.)

Po rozprawie z rozbójnikami podróżnik nasz przechodził przeróżne jeszcze niewygody i niebezpieczeństwa. Na wyspach Fidzi o mało nie umarł z głodu, w kopalniach wynędził go brak wody: później deszcze ledwo że nie zatopiły. Przy ognisku ukąszony w nogę przez zjadliwą stonogę, chorował przeszło pół roku, w podróży zaś ścigany przez dzikich krajowców, rzucił się w rzekę pełną aligatorów i tym jedynie sposobem uchronił się od niechybnej śmierci.

Wszystkie te przypadłości podróżnicze, choć na młodego i silnego bardzo, szkodliwie w końcu oddziałały.

Dostał febry tak uporczywej, że lekarze wyczerpawszy wszystkie środki bezskutecznie, poradzili wreszcie zmianę klimatu przez powrót do Europy. Rada była zbawienna i w pierwszych zaraz dniach, gdy się ujrzał na pełnem morzu, uczuł się zaraz zdrowszym i silniejszym, febra już nie powróciła, ale widok rodzinnego kraju smutne na nim zrobił wrażenie. Przyzwyczajony do dzielnej radności mieszkańców nowej ziemi, nie mógł wytrzymać między swoimi. Załatwiwszy też interesa majątkowe, ruszył na nowo w świat chwilowo zatrzymując się w Szwajcaryi, dla wykończenia rozpoczętego dla Kłosów pisania i odebrania listów, których z domu wyczekiwał.

Przez czas tego przymusowego w jednem miejscu siedzenia, widywaliśmy się codziennie, czas popołudniowy prawie zawsze razem przepędzaliśmy, burza czy deszcz nie odstraszały go nigdy od nawiedzenia, a choć zagawędziliśmy się z sobą częste do północy, choć powrót po ciemnej nocy i stromej obślizłej drodze, wśród deszczu i zawieruchy do miasteczka Rapperswyl o pół godziny drogi odległego, nie był bardzo przyjemny, nie chciał nigdy pozostać, tłomacząc się że gospodarstwo u których mieszkał, byliby o niego niespokojni, i oczekując z pewnością dosiedzieliby do rana.

Przy rozstaniu w podróży przez Szwajcaryą na drodze kolei żelaznej, w milczeniu podaliśmy sobie ręce, przyrzekając pamięć zawartych przyjacielskich stosunków. Pokochałem szczerze naszego podróżnika: my jechaliśmy do Warszawy, on Renem do morza, a następnie do Anglii i Ameryki. Pożegnanie było smutne, miała nas pocieszać wzajemna korespondencya, ale czy można było być jej pewnym, znając usposobienie niespokojne zacnego podróżnika?

Obdarzony na pamiątkę laską, przy której pomocy zwiedził najstromsze szczyty gór Szwajcaryi, z przylepionym na niej napisem i wypalonemi nazwami wyżyn zwiedzonych, powróciłem wreszcie do domu, nie mając wiele nadziei dotrzymania obietnicy częstego do mnie pisywania.

Omyliłem się; w kilka tygodni bowiem otrzymałem list z Anglii z paczką sporego rękopismu, a później z Ameryki dość częste wiadomości także z rękopismami, których druk zaraz rozpoczniemy.

Obecnie podróżnik nasz znajduje się w Chicago i jak się zdaje na czas cokolwiek dłuższy osiedlony. W pierwszym liście ztamtąd pisanym donosił mi, że kilku dzikich Indyan zamierzyło zawrzeć z nim spółkę celem wyjazdu do Europy i pokazywania się za pieniądze ciekawym mieszkańcom starego świata. Ofiara ta była dość ponętną, ale zamiar wyjazdu rozbił się opanujące w okolicy Chicago mrozy niezwykłe, nie dozwalające dłuższych podróży lądem do portu. Miało to miejsce w pierwszych dniach Listopada roku zeszłego. W liście tym donoszącym o zawodzie przybycia znowu do Europy, podróżnik nasz pisze:

„Skoro się uspokoję cokolwiek z interesami, zrobię kilkotygodniową wycieczkę do Mormonów, do Rocky, Mountains i Colorado, by wam szczegółowo opisać życie w owej ojczyznie amerykańskiej. Ameryka mi się podoba i prawdopodobnie obiorę ją jako miejsce spoczynku na stare lata. Kiedyś gdy się dorobię grosza, zdobędę się jeszcze na podróż do Indyi, Chin i Japonii, lecz może i życia i zdrowia zbraknie do tego."

„W Ameryce liczą do stu tysięcy Polaków, w samem Chicago jest dwa tysiące domów w posiadaniu polskich rodzin. Wczoraj wydano tu pierwszy numer gazety polskiej. Strasznie licha! Otóż chcą tu niektórzy bym włożył do kapitału i mą pracę i objął redakcyą jej. Wiecie jak nienawidzę pióra i wszystkiego co się jego tyczy, lecz poświęciłbym się na rok, gdybym miał nadzieję że się gazeta uda, by Szlązaków tutejszych i Kaszubów oderwać od Niemców i kształcić. Lecz taka tu ospałość co do prenumerowania gazet polskich, iż obawiam się straty znacznej pieniężnej. Na zysk liczyć zupełnie nie można. Klimat tutejszy bardzo ostry, i daje mi się we znaki. Dziś tak tu wygląda jak u was na Boże Narodzenie. Adresu własnego nie posyłam bo dotąd jestem jeszcze Arabem.

„Ogół tutejszych Polaków nie bardzo pocieszający. Wielu Szlązaków, a tych najwięcej, mówi iż są z Deutschlandu. Jest tu jednak coś inteligencyi. Mamy raz na miesiąc teatr polski amatorski i małą czytelnię. Możnaby więc coś zrobić dobrego, chęci są, jest i materyał, ale wszystko psują Zmartwychwstańcy i Jezuici, którzy większość zupełnie opanowali.

W następnym liście z dnia 2 Grudnia 1873 roku, Podróżnik nasz pisze co następuje:

„Dziś wróciłem z kilkotygodniowej wycieczki po stanie Nebraska i dzikich prowincyach Colorado, leżących po obu stronach skalistych gór, owego cudownego łańcucha, przecinającego Stany Zjednoczone od północy ku południowi. Góry te obfitują w najromantyczniejsze i najdziksze krajobrazy, w kopalnie złota, najrozmaitszych kruszców i bory w którychby żaden pędzel nie odmalował. Prowincye wspomnione to ojczyzna niedźwiedzi, bawołów biegających w stadach dziesięcio tysięcznych, Indyan krwi chciwych, owych słynnych trapperów (myśliwych) i górników, o których tyle tomów napisali powieściopisarze. Pomiędzy ludzi tych wmieszałem się i przeżyłem z niemi parę tygodni. Również nie zaniedbałem zbratać się z pokoleniem Indyan spotkanem w Colorado, słowem nie zmarnowałem czasu i nie żałowałem pieniędzy, by zgłębić wszystkie dostępniejsze tajniki gór skalistych i przypatrzeć się dziwnym jej mieszkańcom.

„Wróciwszy do Minesoty, gdzie zakładam gospodarstwo, zabieram się do opisania oglądanych cudów i nader tragicznych przygód jakie mnie spotkały w ostatnim miesiącu. Wspomnę tu tylko w krótkości, iż żadna epoka mego życia nie była dziwniejszą i pełniejszą awantur, jak ta krótko trwająca podróż pełna obfitych przygód. Wolałbym drugi raz iść na Wetterhorn jak narażać się na towarzystwo ludzi, trzymających wiecznie palce na cynglu u rewolwera. Choć uszedłem z całą skórą, lecz przyrzekłem sobie w duchu, iż już nigdy w podobnem towarzystwie nie będę się znajdował."

Ostatni list był pisany w sam dzień Bożego Narodzenia. Podróżnik też wzmianką o nim rozpoczyna pisanie:

„Dziś dzień Bożego Narodzenia, niechże wszystkie nasze życzenia spełnią się.

Ostatnie wypadki tak mnie znękały i tyle mi wyrządziły szkody pieniężnej, iż wróciłem do Minnesoty o lat kilka starszy na duchu. List wasz i Tygodnik Mód wpłynęły bardzo na orzeźwienie pognębionej mojej duszy.

„Ludzie tutejsi, to zgraja zapełniająca kraj tak piękny, żyzny, o prawach tak mądrych i rwąca obcego a niedoświadczonego cudzoziemca na wszystkie strony.

Pomimo znajomości języka, obyczajów i śmiałości, poniosłem znaczne straty i poniosę pewno więcej. gdyż nie posiadam ich bezczelności i szanuję nietylko literę ale i ducha prawa. Oni byleby tylko nie dostać się do kryminału, wszystkiego się dopuszczą. Pracą jednak odbiję się ze strat poniesionych.

„Mieszkam na pograniczu dzikiej Dakoty, a przecie o 36 godzin drogi koleją od Chicago, zkąd ciągle dochodzą mnie listy i gazety. Z opowiadań i osobistych stosunków poznaję Indyan i współdzikie społeczeństwo białych. Z wycieczek do miasteczek N. Ulmy i gazet dowiaduję się co dzieje się na wielkim świecie. Pragniecie mego powrotu: w istocie miłoby było wrócić do Galicyi, której stan opłakany tak prawdziwie opisał wasz Korespondent. Kiedyś chętniebym osiadł w Warszawie, do Galicyi odstręczają mnie stan jej polityczny, socyalny i inne jeszcze różne powody.

„Zapytujecie, w jakim celu osiadłem w Minnesocie? Oto ziemia tu wyborna, dotąd bardzo tania, a choć klimat ostry, napływ emigracyi wielki. Za lat więc pięć. gdy posiądę wszystkie przywileje obywatela tutejszego, gospodarstwo jakie założyłem, będę mógł łatwo spieniężyć za dobrą cenę, a pieniądze te posłużą mi do wielkiej podróży do Azyi centralnej. Tymczasem w zimie postanowiłem robić wycieczki do Meksyku, do Kanady i opisywać jak wyglądają te kraje. W chwilach wolnych chcę się uczyć miernictwa i po chińsku, tak bym i w Azyi mógł żyć z własnej pracy i dać sobie radę w każdej potrzebie. Rękopism dołączony obejmuje osobiste moje przygody do powrotu do N. Ulmu.

„W przyszłym miesiącu przyślę list, opisujący rolników tutejszych, tryb gospodarstwa i maszyny, aby zwrócić uwagę polskich gospodarzy na ich praktyczność. Opiszę jak mnie tu oszukiwano dla przestrogi innych, zamieszczę także inne szczegóły o Indyanach, którzy tu przed kilku jeszcze latami gospodarowali z ogniem i mieczem w ręku. Poznałem tu chłopca oskalpowanego czyli ze zdjętą czupryną, wraz ze skórą z głowy; znam także ludzi, których Indyanie krzyżowali i słyszałem od nich mnóstwo bardzo ciekawych opowiadań.

„Na niedbałe napisanie rękopismów, które wam przesłałem, zapewne bardzo narzekacie: ale cóż było robić, kiedy część ich pisałem na noclegach w karczmach, część ołówkiem albo atramentem z szuwaksu zrobionym, a po prawdziwy chcąc się wysadzić pięć mil polskich jeździłem konno tam i napowrót a zresztą wiecie, że się wcale nie chlubię literackiemi zdolnościami lecz darem znajdowania guzów i prawdopodobieństwa złamania karku. Gdybym posiadał środki do podróżowania, jeździłbym ciągle po Afrykach, Azyach, Amerykach, Australyach i opisywał te kraje bez żadnych widoków zarobku.

„Chodzi mi tu głównie o to, aby poznane w świecie rzeczy dobre i pożyteczne przyswajać swojemu krajowi.

„Gospodarstwo moje jest obszerne. u was wyglądałoby jak małe udzielne Księztwo. Obejmuje bowiem całą kwadratową milę angielską.

„Pani Niemczewska, o której wspomniałem,jest właścicielką hotelu a raczej jadalni i szynkowni polskiej, w której mieszkałem w Chicago. Pan Jan Niemczewski był parobkiem a ona dziewką w Poznańskiem i na Szlązku. oboje nie umieją pisać i czytać, lecz mają głowę do *business* to jest do interesów. Pracą prostą fizyczną przez czas sześciu lat w Chicago dorobili się kilkuset dolarów, a z tych w ostatnich pięciu latach doszli do dziesięciu tysięcy dolarów. Pomimo braku wszelkiej nauki, ludzie to dobrzy. Gazetę podtrzymuje on pieniędzmi od upadku i maszynista Dyniewicz ledwie pisać umiejący. Przy lichem tem piśmidle redaktor nawet dobrze po polsku nie umie, a co gorsza nie przyjmuje rad dobrych, jakby ją przekształcić na pismo godne czytania.

Opisy mej kilkotygodniowej włóczęgi między Indyanami zdaje mi się że zainteresują wasze Czytelniczki. Wiecie, że umiem sobie radzić w podobnem towarzystwie i że lepiej umiem opowiadać o dziwnych scenach pomiędzy takiemi ludźmi jak o krajach ucywilizowanych. Odpowiada to usposobieniu memu i pojmowaniu charakteru dzikich.

„Mrozy mamy tu prawdziwie syberyjskie, konie zdychają mi i dwóch już straciłem, i zamiast pisać muszę doglądać chorej mej chudoby i drwa nabrać by ogrzać dom ledwo ukończony i zimny. Za kilka tygodni, gdy się urządzę, zabiorę się sumienniej do pracy i wtedy pamiętnik mój nowozelandzki ukończę i prześlę."

Na tem zakończamy ciekawsze wyjątki z listów naszego Podróżnika, i w następnych numerach zaraz rozpoczniemy druk nadesłanych nam przez niego rękopismów. *J. K. G.*

EMANCYPACYA KOBIETY

W STOSUNKU

DO SOCYALIZMU I EKONOMII POLITYCZNEJ.

(Dalszy ciąg.)

„Przypatrzmy się kwestyi kobiet: w czasach George-Sandyzmu kwestya ta jeśli stała niżej pod jednemi względami, za to stała niewątpliwie wyżej pod innemi. Szło wówczas o wolność w miłości, i kobiety szukały nowych kombinacyi społecznych, chciały stosunek obojga płci nowym poddać zasadom. Dziś prawo do pracy zajęło miejsce wolności w miłości; w drugim tym stopniu kwestya nie rozwiązuje się w sposób dość zadawalający. Aby być zrozumialszym, użyję porównania; niegdyś szło o zadanie arytmetyczne, dziś występuje zadanie algebraiczne. Nie powiadam, aby arytmetyka była wyższą od algebry ale utrzymuję, że rozwiązanie pierwszego zadania więcej warte od rozwiązania drugiego. Teraźniejsi stronnicy kobiet usiłują dowieść o ich zdolnościach pełnienia urzędów oddawanych dotychczas samym mężczyznom, i o ich prawie do równości z temi ostatniemi. Temata te bardzo niewdzięczne, bo cóż zyskano, okazawszy, że kobieta jest istotą ludzką, i zdolną zajmować się medycyną, albo inną jaką umiejętnością? Nie przeszkadza to wcale nieprzyjaciołom kobiet stawiać im zasadzki w najlepsze, i dalej prowadzić rozpoczętą wojnę. Dla czego oni prowadzą ją dalej? Utrzymują, że emancypacya kobiet wstrząsa podstawy społeczne, lecz na czem polega to wstrząśnięcie. Widoczną jest rzeczą, że zamiast wstrząsać te podstawy, pragną one umocnić je. Fakt, że kobiety pełnią obowiązki telegrafów, stenografów, lekarzy, a w przyszłości mogą zostać sędziami adwokatami i t. d. jedni powitali z tryumfem, a drudzy uważają go, jako jedno złe z najgorszych. Jakież tu ma zająć stanowisko człowiek, który z jednej strony nie pragnie nikogo prześladować, a z drugiej nie chce odłączać kwestyi specyalnej od wielkiego problematu społecznego."

„Człowiek ten powie: przyjemnie mi widzieć w kobiecie nie lalkę, lecz taką samą jak ja istotę ludzką, przyjemnie mi dowiedzieć się, że siły, które niegdyś rozpraszały się, spożytkują na korzyść społeczeństwa. Żałuję, iż kobiety napotykają na tej drodze przeszkody, i znajduję te przeszkody tem dziwniejsze, że siły kobiece pragną nie tylko poświęcić się na posługi społeczeństwa w ogóle, ale chcą być użyte na korzyść ustalonej formy społeczeństwa, której bronić uważają obławnicy za swój obowiązek. Jeżeli kwestya jak się obecnie przedstawia rozwiązuje się na korzyść kobiet, to mogą ztąd wyniknąć pewne ulepszenia cząstkowe w ustalonym porządku, lecz porządek ten żadnego przez to nie poniesie uszczerbku, właściwie więc nie masz tu ani powodu do radości, ani do smutku. Co innego byłoby, gdyby kwestya kobieca nie była odosobnioną, gdyby kobiety przynosiły z sobą nowe kombinacye ekonomiczne, albo też nowe zasady polityczne. W takim razie, pojmuję słuszność ścigać je, a zwolennicy pewnych doktryn poświęcić się im całą duszą. Ale nie widzimy tu nic podobnego. Co do mnie, zupełnie obojętną mi rzeczą, czy mój telegram wyekspediuje mężczyzna, albo kobieta; kto stenografuje mój proces. Wiem tylko, że w teraźniejszem społeczeństwie mnóstwo jest zawodów, do których, pożądaną byłoby rzeczą, aby kandynaci się zmniejszali nie zaś zwiększali. Oto przyczyna, dla której nie mogę poświęcić się tej kwestyi."

„Nadto nie należy zapominać, że jest ona cząstką problematu zwanego *proletaryatem intellektualnym*, a ten znów stanowi jeden z rozdziałów wielkiej kwestyi socyalnej. Odzywam się więc do kobiet: uczcie się, uzyskajcie prawo do pracy, pracujcie. Lecz gdy skończycie swoją naukę, zobaczę, do czego jej użyjecie; gdy pozyskacie prawo do pracy, zobaczę, jak ją uorganizujecie."

Oto jakby odezwał się człowiek, który nie chce wyłączać żadnej kwestyi z obszernej dziedziny socyalnej." (1)

IV.

Streszczamy rzecz naszą. Widzieliśmy najprzód, że przeciwnicy emancypacyi kobiet uskarżają ją o wspólnictwo z doktrynami socyalistowskiemi, zamącającemi ustalony porządek, a następnie rozebrawszy powody, na których opiera się to oskarżenie, mogliśmy się przekonać o jego fałszywości. Mogliśmy sprawdzić, iż powstało ono, najprzód z nieporozumienia, co do wyrazów, z pomieszania równości naturalnej, będącej wynikiem wolności ze sztucznem zniwelowaniem, a powtóre ze spaczonego pojęcia praw natury.

Widzieliśmy dalej, że dowodzenia skierowane przeciwko emancypacyi kobiet w rażącej są sprzeczności z najelementarniejszemi zasadami ekonomii politycznej i liberalizmu, że zaprzeczając dobroczynnemu

---

(1) *Отечественныя Записки.* Marzec 1873.

wpływowi wolnego podziału pracy, konkurencyi, odpowiedzialności indywidualnej, a podstawiając w to miejsce wiarę w interwencyą władzy i w urządzenia foremkowe, ekonomiści zbliżają się już-to do tendencyi biurokratycznych i protekcyonistowskich, już-to, i to najczęściej do rządów socyalistowskich; tak samo jak socyaliści, odrzucają oni zbadanie faktów i poznanie istotnych zjawisk, zastępując je chimerami i ładnie brzmiącemi frazesami, tak samo, jak oni okazują wzgardę dla rzeczywistych praw natury, wyrzucając z niej nieskończoną różność, a poddając ją jednostajności i równości, która jej wstrętną jest, zrównywając nie tylko zajęcia, lecz także przymioty moralne i intellektualne całej połowy rodzaju ludzkiego.

Widzieliśmy wreszcie, że mniemani sprzymierzeńcy kobiet, w gruncie rzeczy są ich najniebezpieczniejszemi wrogami, że oni sami zaczynają przeczuwać różnorodność tego punktu ich programu z głównym przedmiotem ich tendencyi.

Jakiż więc można wyprowadzić ostateczny wniosek ze wszystkich tych faktów? Czyliż mamy sądzić, że gdy wolność kobiety wynika z tych samych zasad i te same ma następstwa, co wolność mężczyzny, więc nie masz żadnej różności pomiędzy dwiema płciami. Ależ byłaby-to niedorzeczność. Więcej jest jak prawdopodobną rzeczą, że różność fizyczna istniejąca pomiędzy niemi, ma pewną odpowiedniość intellektualną i moralną, że usposobienia i gusta kobiet nie są bezwzględnie to same, co mężczyzn, i że istnieje naturalny podział pracy pomiędzy płciami. Idzie tylko o to, i tu się streszcza cała kwestya, jakim sposobem wynaleźć tę linię demorkacyjną bez narażenia się na popełnienie najgrubszych i najszkodliwszych dla społeczeństwa błędów? Za jakim iść przewodnikiem, aby określić ściśle to, co przystoi każdej z dwóch płci, co im powinno być dozwolone, a co wzbronione, nie dając się uwodzić ani osobistemi naszemi względami, ani powodując się rozkoszą, jaką nam sprawia kobieta-poeta, lub dreszczem, jakim nas przejmuje kobieta-publicysta. Gdy idzie o ustanowienie prawa, każdy mniej więcej uzasadnia swoje zdanie na osobistem doświadczeniu, gdy zaś to musi być ograniczonem, rozciąga więc do grupp całych postrzeżenia uczynione w małem kółku.

Niech kobiecie przysługują te same prawa, co mężczyznie, niech praca jej w żadnej sferze nie doznaje zawad a prawdziwa różnica płci uwydatni się daleko dokładniej.

(d. c. n.)

Hygiena.

Rady dotyczące wychowania niemowląt.

Pierwszy krzyk wydany przez nowonarodzone dziecię, napełnia radością serce matki, i wywołuje zapomnienie wszystkich cierpień doznanych poprzednio. Młoda kobieta została matką, to też twarz jej napiętnowaną jest wyrazem najwyższego szczęścia.

W wiekach starożytnych tak w Grecyi jak w Rzymie, nowonarodzone dziecię kładziono u stóp ojca, a jeżeli ten kazał go podnieść w takim razie udzielano niemowlęciu wszelkich starań, odpowiednich do jego potrzeb; w przeciwnym wypadku jeżeli ojciec zostawił go u swych stóp, w takim razie wyrzucano je na drogę publiczną zdając na los Opatrzności.

Chrystianizm zniweczył ten obyczaj barbarzyński. Zasady eko nomii społecznej pouczają nas, że zwiększenie ludności jest dobrodziejstwem nietylko dla rodzin pojedynczych, ale i dla całych narodów. Wychodząc z tego stanowiska, jest rzeczą nader ważną otoczyć nowonarodzone niemowlę staraniami umiejętnemi, zgodnemi z przepisami wyrozumowanej hygieny i własnem serca uczuciem.

Matka potrzebuje przedewszystkiem wypoczynku, właściwą zatem jest rzeczą w pierwszych dniach zostawiać ją samą, zwracając baczną uwagę na najmniejszy znak przez nią udzielony. Odwiedzający ją członkowie rodziny, powinni bawić krótko i mówić o ile możności najmniej.

Po kilku godzinach spoczynku matka podaje pierś nowonarodzonemu dziecięciu, obowiązek święty jaki dopełnić powinna każda matka z wyjątkiem tylko wypadków nadzwyczajnych; obowiązek tem łatwiejszy do spełnienia, że napełniający serce kobiety uczuciem niewysłowionej rozkoszy.

Nowonarodzone dziecię ma tylko dwie potrzeby główne do zaspokojenia, to jest spać i ssać,—skoro więc głód jego został zaspokojony, należy go natychmiast położyć do kołyski, starając się zawsze o zachowanie jak największej czystości. Ale nietylko niemowlę i matka potrzebują wypoczynku, lecz i mleko również wymaga pewnego czasu aby nabrało przymiotów koniecznych do stanowienia zdrowego posiłku, z tych więc przyczyn dziecię ssać powinno w stale oznaczonych godzinach. Można wziąść za zasadę karmienia, ustęp czasu co trzy godziny. Wieczorem należy mu dać ssać po raz ostatni około godziny jedenastej, a później dopiero około godziny piątej rano, aby wcześnie przyzwyczaić go do nieprzerywanego snu podczas nocy. Nie ma nic szkodliwszego jak za najmniejszym krzykiem dziecięcia, brać go na ręce i podawać mu pierś; tym bowiem sposobem utrudnia się mu trawienie, co sprowadzić może w następstwie rozliczne choroby.

W czasie pierwszych miesięcy karmienia, matka powinna jak najściślej zachować powyższe przepisy.

Co do ubrania dziecięcia są dwie metody: jedna angielska, druga francuzka; pierwsza zależy na zostawieniu dziecięciu zupełnej swobody: druga przeciwnie zależy na owinieniu go w pieluszki. Otóż w tej mierze trzeba zachować następujące przepisy.

Ręce powinny być zostawione wolne zupełnie. Pieluszki należy podwiązać pod pachami i nie inaczej jak na wierzchu koszuli. Nie należy dziecka ściskać bardzo, szczególniej na dole, tak aby z łatwością mogło poruszać nóżkami. Do obwiązania trzeba używać pasków szerokich, a w żadnym razie śpilek, jako bardzo niebezpiecznych.

Skoro tylko okaże się potrzeba, dziecię powinno być obmywane wodą letnią. Wszystkie miejsca zaognione, szczególniej gdzie ciało zostaje w zetknięciu, powinno być zasypywane proszkiem ryżowym. Ciało i głowa nowonarodzonego dziecięcia powinny być utrzymywane w największej czystości. Główki nie należy okrywać zbyt ciepło, lekki czepeczek szydełkowy jest aż nadto wystarczającym.

Matka powinna ściśle zastosowywać swoje postępowanie do rady lekarskiej; nie wstawać z łóżka, jak dopiero około dwunastego lub piętnastego dnia, i nie wychodzić z domu przed upływem miesiąca.

Co do kolebki jest rzeczą zupełnie obojętną, z jakiego przysposobioną jest materyału, aby tylko była lekka i oparta na silnych nogach. Firanki powinny być zrobione z materyi lekkiej i urządzone w ten sposób, aby przystęp powietrza nie był utrudnionym. Za posłanie służyć powinny jeden lub dwa materace zrobione z plew owsianych albo też z liści paproci. Wełny lub puchu nie należy używać, ponieważ sprowadzają zbyt wielkie i szkodliwe gorąco. Podkładanie pod dziecię skóry baraniej. płótna woskowego lub ceraty, jest szkodliwe pod każdym względem, bo w suchym stanie utrzymywane łatwo się zbytecznie rozgrzewają: wilgotne zaś bardzo prędko mogą wywołać rany na ciele dziecięcia.

Najlepiej jest położyć na sienniczku kawałek pilśni, która to tkanka nie jest zbyt miękką, a tem samem nie wywiązuje wielkiego ciepła. Posiadając własność pochłaniającą, ochrania pieluszki i materace od zbytniego a zawsze szkodliwego zmoczenia. Dosyć jest też mieć do zmiany dwa kawałki pilśni, aby utrzymać kolebkę w jak największej czystości.

Prześcieradło powinno być płócienne, poduszka zrobiona z włosia, albo z plew owsianych, kołderka wełniana albo bawełniana, oto cały przystrój kolebki nowo-narodzonego dziecięcia.

Mając gościnnie otwarte stronnice Tygodnika Mód, powrócimy nieraz do przedmiotu tak ważnego jakim jest wychowanie niemowląt.

Przedmiot to niewyczerpany, jak każda nauka dotycząca życia człowieka. Obecnie powiemy tylko słów kilka o właściwem odstawianiu od piersi.

Zależnem jest ono nie od liczby miesięcy żywota, ale od liczby posiadanych zębów. Nie należy nigdy odstawiać od piersi dziecię nie posiadające zębów, ani w czasie kiedy takowe wyrzynają się, ani w epoce wielkich upałów, nareszcie nie należy ssanie przerywać nagle.

Częstokroć nie podobna jest czekać z odstawianiem od piersi, aby dziecię posiadało wszystkie zęby, ale bezwarunkowo należy uniknąć czasu, w którym ząbki przerzynają dziąsła. Zęby mleczne ukazują się zazwyczaj w stale oznaczonych peryodach. Otóż pomiędzy jednym a drugim upływa zawsze pewien przeciąg czasu, w którym czynność ta jest zawieszoną. W tej przeto chwili wypada uskutecznić odstawienie od piersi.

Choroby zwane biegunkami właściwe dzieciom podczas upałów mogą się stać śmiertelnemi, jeżeliby w czasie tej słabości nastąpiło odstawienie od piersi. W każdym razie należy je uskuteczniać stopniowo, dawać ssać coraz mniej, a jeść i pić coraz więcej, szczególniej zupy lekkie lub mleko od krowy lub kozy. Jednakżeż tak jak w ssaniu tak w dawaniu jedzenia, trzeba zachowywać ściśle godziny raz oznaczone. Dziecię zwolna powinno być doprowadzone do tego, aby ssało raz tylko jeden na dzień, a tym sposobem przejście to często bardzo niebezpieczne, odbędzie się bez zbyt silnego wstrząśnienia organizmu, tak dziecięcia jako też matki.

Dr. B. Z.

Przegląd litetatury zagranicznej.

HISTORYA

STANOWISKA KOBIET W SPOŁECZEŃSTWIE

EUROPEJSKIEM

PRZEZ

Ernesta Legouvé

Członka akademii francuzkiej.

Wiek XVIII chciał zburzyć i wedle swego widzenia poprawić cały układ społeczny, będący owocem pracy poprzedzających pokoleń. Nie dotknął jednak wcale pytania, dotyczącego stanowiska kobiet w społeczeństwie. Wielcy nawet myśliciele tej epoki jak Montesquieu, Rousseau, Voltaire, Diderot zajmowali stanowiska nieprzyjazne względem niewiast, naznaczając im za najwyższe zadanie uprzyjemniania życia mężczyzn. Montesquieu otwarcie powiada, że przyroda dała kobietom wdzięki, a skoro te nikną to i cały ich wpływ ustaje.

W czasie wielkiej rewolucyi francuzkiej dwaj ludzie niepospolici, Condorcet i Sieyes, uczynili przedstawie-

nie na zgromadzeniu narodowem, aby kobieta rzeczywiście uznaną była za człowieka, a w następstwie tego, aby jej nadane były prawa nie tylko rodzinne ale i polityczne. Wnioski ich jednak znalazły nieubłaganych przeciwników w osobach Mirabeau, Dantona i Robespierra, co było rzeczą aż nadto dostateczną do odrzucenia takowych bez bliższego nawet rozbioru.

Nadeszła epoka pisania kodeksu cywilnego, ale niestety w owym czasie po zerwaniu węzłów rodzinnych we Francyi, kobiety zostawały w wielkim upadku moralnym, a nadto prawodawcy ówczesni byli uczniami Montesquieu'go, Diderota itp. pisarzy, rzecz zatem prosta, że względem praw służących niewiastom przybrali postawę jak najbardziej nieprzyjazną.

Niezaprzeczenie jeden człowiek wówczas posiadał w swem ręku losy połowy rodu ludzkiego, ale człowiekiem tym był Bonaparte, który w rodzinie przedewszystkiem wymagał karności, a w państwie posłuszeństwa. Na jednem z posiedzeń w ten sposób zakończył swoją mowę: prawo nadające kobiecie możność swobodnego działania, byłoby jak najprzeciwniejszem duchowi narodu francuzkiego. Bonaparte nie wierzył ani w rozum ani w gieniusz kobiecy, i dlatego wymagał, aby ta zawsze i we wszystkiem bezwarunkowo posłuszną była swemu mężowi. W tym celu zalecił burmistrzom miast, udzielającym śluby cywilne zachowywać przepisy wiele znaczące, a mianowicie wymawiać głosem uroczystym, że kobieta winna być posłuszną swemu mężowi. Sala ślubna miała być przybraną z całą powagą, aby ten święty obowiązek posłuszeństwa lepiej był narysowanym w pamięci nowo-zaślubionej niewiasty. Niektóre przepisy mogące przynieść korzyść kobiecie usprawiedliwianemi są nie z tego stanowiska, aby wyrwać takową z pod przemocy małżonka, ale aby nastręczyć mężom środek prawny uwolnienia się od kobiety, jeżeli ta dla pewnych przyczyn stała się mu nieznośną. Odczytując kodeks, można nabrać przekonania, że prawodawca nadzwyczajnie był troskliwym o honor mężczyzn, ale szczęście kobiet uważał za przedmiot niegodny zastanawiania się dla ludzi poważnych.

Po upadku Napoleona w czasie powrotu Burbonów na tron, ówczesny filozof Ronald utrzymywał z całą powagą, że kobieta i mężczyzna nie mogą być nigdy sobie równymi.

Na sklepieniu niebieskiem można dostrzegać ciała, krążące około gwiazd większych, takim drabantem jest księżyc krążący na około ziemi. Dotychczasowe stanowisko kobiet podobnem jest do owych drabantów, zawisłych bezwarunkowo od ciała posiadającego większe rozmiary, a ponieważ Jowisz posiada aż cztery księżyce, tem więc samem i wielożeństwo zostało usprawiedliwionem, pomiędzy rozmaitemi ludami Azyi.

Dzisiejsze położenie kobiet nie o wiele jest lepszem, to też panu Legouvé należy się wielka zasługa, że już od lat kilkunastu pracuje wytrwale nad wyzyskaniem dla kobiet praw właściwych i stanowiska w rodzinie i państwie odpowiedniego do zadania naznaczonego im przez Opatrzność. Początkowo miewał odczyty publiczne, na jakie uczęszczało mnóstwo osób, później te poglądy rozwinięte i uporządkowane wydane były w oddzielnej książce pod tytułem Histoire Morale des Femmes. Dzieło to doczekało się czterech edycyi, a nadto natchnęło innych pisarzy jak Pelletan'a, Jules Simon'a, Michelle'ta do podjęcia zadania, dotyczącego stanowiska niewiast w społeczeństwie.

Połączone usiłowania nie były bezowocne, bo mimo silnego oporu ludzi zastałych w swych poglądach, dały początek we Francyi założenia wyższych wykładów naukowych dla kobiet. Dzieło to przeprowadzone zostało z poparciem rządowem, a tem samem kwestya przyszłego stawienia kobiety na równi z mężczyzną, została rozstrzygniętą w znaczeniu twierdzącem, kiedy nietylko dozwolono, ale nadto ułatwiono kobiecie możność kształcenia się w znaczeniu jak najrozleglejszem. Zaiste jedynie tylko drogą oświaty, kobieta może uzyskać należne sobie prawa drogą tylko oświaty może pojąć i spełnić zadanie, naznaczone jej przez Opatrzność. Historya poucza, że tak jak i inne warstwy społeczne tak i kobieta zmierza ku swemu wyzwoleniu. Zwalczyć ów prąd będący jedynie objawem prawa rozwoju ludzkości, byłoby rzeczą zupełnie nieużyteczną, tak jak byłyby nieużytecznemi wszelkie usiłowania, dążące do zawracania rzek ku swoim źródłom. Nie niweczyć, ale pokierować każdym nowym objawem społecznym powinno być zadaniem uczonych i prawdziwych mężów stanu. Pan Legouvé jest właśnie pracownikiem tego rodzaju, ale nie wpada bynajmniej w błąd właściwy socyalistom, bo nie chce w znaczeniu moralnem zamieniać kobiety na mężczyzn, tylko pragnie, aby uważano kobietę jako istotę różną, ale równą we wszystkiem mężczyznie. Z tego stanowiska wychodząc, patrzy on na dwie połowy rodzaju ludzkiego jako wzajem dopełniające się, i mające do spełnienia równej wagi zadanie ludzkościowe, ale w kierunku zupełnie odmiennym. Rodzaj ludzki powiada, złożonym jest z dwóch wielkich gałęzi, z których jedna tylko była dotychczas czynną, otóż wypadałoby w wieku XIX powołać do działa i drugą gałęź, bo tylko w należytym rozwój dwóch części, całość może wydać właściwe owoce. Panu Legouvé nie chodzi wcale o to, aby dwie części miały być doprowadzone do zgubnej jedności, chce on właśnie, aby kobieta została kobietą, ale nie w dzisiejszem znaczeniu podrzędnem, ale aby została kobietą człowiekiem pojmującym, że ma ważne zadanie ludzkościowe do spełnienia.

Dzieło pana Legouvé napisane jest z talentem jemu właściwym, a przytem z niepospolitym zasobem nauki, dotyczącym Historyi stanowiska kobiet w społeczeństwie europejskiem. Postanowiliśmy przeto zapoznać bliżej Czytelniczki z jego osnową podając ją w streszczeniu i niekiedy czyniąc własne spostrzeżenia.

U nas w kraju może kobiety najwięcej są usposobione do dźwignięcia godności niewiast i zapewnienia im należytych praw, to też nie wątpimy, że pomysły pana Legouvé znajdą ogólne uznanie.

K. G.

NAMIĘTNOŚCI

WEDŁUG

NAJŚWIEŻSZYCH PRAC DOKONANYCH

W DZIEDZINIE

FIZYOLOGII I HISTORYI NATURALNEJ

przez

Ferdynanda Papillon.

przełożone przez **B. J.**

1. *The Expression of the emotions in man and animals*, by Ch. Darwin, 1872. — II. *La physionomie et les mouvemens d'expression*, par M. Gratiolet, 2-me édition, 1873. — III. *La Contagion morale*, par le D-r. Prosper Déspine, 1871. — IV. *Le coeur et le cerveau*, par. M. Cyon, 1873. — V. *Physiologie des passions*, par M. Letourneau, 1869.

Dociekania czysto rozumowe jako też uważne zastanawianie się nad rozwojem wiedzy ludzkiej, wykazują zarówno ścisłą solidarność wszystkich sił i wszelkich działań przyrodniczych, a to do tego stopnia, że niepodobna zrozumieć pojedynczych szczegółów jeżli zarazem nie badamy całego ogółu fenomenów. Długo odosobnione gałęzie wiedzy ludzkiej dziś coraz więcej zbliżają się do siebie, aby jedną utworzywszy całość, łatwiej mogły wytłomaczyć nam każdy przedmiot naszych badań. Pożerany żądzą wiedzy człowiek, popchnął wszystkie nauki mocą nieprzepartej atrakcyi ku jednemu wspólnemu centrum, aby tak zjednoczone nabrały prawdziwej wartości i znaczenia. Człowiek, mówi Buffon, łączy w sobie wszystkie siły przyrody, jest małym światem, środkowym punktem do którego wszystko się odnosi, i trzeba uciekać się do wszelkich możliwych analiz, chcąc poznać składowe części tej wielolicznej istoty, trzeba największego możliwego światła, aby rozjaśnić ciemności, otaczające ten tajemniczy problemat.

Jeśli prawdą jest co mówi Leibnitz, że każdy najdrobniejszy atom, monada niedostrzegalna gołem okiem, odźwierciadla w sobie całą piękność wszechświata, o ileż prawdziwem to być musi odnośnie do człowieka, tego osobliwszego zlepku najróżnorodniejszych monad! Tak psychologowie starający się poznać człowieka przez badanie wyłączne fenomenów sumienia, jakoteż fizyologowie zastanawiający się wyłącznie nad fenomenami organicznemi, zarówno przyczynili się do uprawienia gruntu, na którym można obecnie oddawać się niebezowocnem badaniom, i to samo powinnoby ich skłonić do zaniechania antagonizmu, sprzeciwiającego się gruntowniejszemu poznaniu natury ludzkiej, i połączonemi usiłowaniami do jednego zmierzać celu.

Tak ci co utrzymują, że fizyologia jest nauką skończoną, jakoteż twierdzący że nigdy nie będzie ona nauką na stałych opartą podstawach, zarówno są w błędzie. Nieuprzedzone umysły, bacznie śledzące ruch fizyologii i psychologii, przyznać muszą, że obie czynią nieustannie względne, wzajemnie od siebie zależne postępy. Filozofowie których zdania i prace poprzednie, zdawały się nie dopuszczać im badań fizycznej strony człowieka, oddają się im dziś ze światłą żarliwością, jak zarówno badacze, których dawniejsze dowodzenia i zasady, powinny były odstręczyć od dociekań moralnej jego natury, także dziś sumiennie pracują nad jej zgłębieniem. Bezpośredniem prac tych następstwem, jest ściślejsze i dokładniejsze zbadanie stosunku moralnego i fizycznego wzajemnie oddziaływających na siebie, i wykazującego niepojęte, zadziwiające objawy.

I.

Doktryny starożytnych o namiętnościach, w gruncie rzeczy mało się różnią od tych, jakie fizyologia i patologia wytworzyły w ostatnich czasach. Mylnie tłomaczyli sobie wpływ humorów i mechanizmu fizyologicznego na powstawanie objawów namiętnościowych, ale zbadali i określili dość dokładnie wpływ, jaki one wywierają na trzewia okolicy brzusznej.

Tak utwory poetyczne jak pisma starożytnych doktorów, dowodzą, że od najdawniejszych czasów uważano i znano stosunek zachodzący między uczuciami duszy a ruchami serca, płuc, żołądka i wątroby. Z tej wychodząc zasady, starożytni pomieścili namiętności w trzewiach i doktrynę swą streścili w znanym aforyzmie: że śmiech pochodzi ze śledziony, gniew z żółci, miłość z serca, wzruszenie z płuc.

Fizyologia namiętności przekazana nam przez starożytnych autorów, ze stanowiska opisującego jest tak dokładną, że nie wiele dodać do niej możemy, — nie znali przecież prawdziwego ich siedliska, które wykazał nam dopiero Descartes w sławnem swem dziele „*O namiętnościach.*" On pierwszy osiedlił je w mózgu. „Dusza, mówi on, przez mózg tylko bezpośrednio cierpieć może" a dalej. „Umysł nie odbiera wrażeń od wszystkich części ciała, ale jedynie od mózgu." Prawda ta, wydająca nam się dziś tak prostą i jasną, dopiero przez najświeższe badania fizyologiczne udowodnioną została. Bichat, najznakomitszy fizyologiczny

teoretyk namiętności, nie uznawał jej wcale, jak o tem przekona krótki wykład jego nauki.

Pierwszą cechą fizyologiczną jaką Bichat upatruje w namiętnościach, jest ich przerywalność. Myśli, mówi on, mogą trwać i ciągnąć się długo, a nawyknienie do długich jednakich rozmyślań i zdań, wyrabia je i udoskonala; namiętności zaś nie są długo trwałe. Można powiedzieć, że wyjąwszy radości i boleści, które dałyby się nazwać absolutnemi i które zależą od bezpośredniego pobudzenia nerwowego, nawyknienie do jednakich uczuć, powoli zaciera je i osłabia. Tak miłe jak przykre wrażenie, jeźli tylko przedłuża się zbytecznie, nie sprawia już ani przyjemności ani przykrości. Wyrabiający perfumy i oddychający ciągle woniejącą atmosferą, nie czuje zapachów; wszystko co tylko zachwyca słuch i wzrok, obojętnieje skutkiem zbyt przedłużonego wrażenia. To samo stosuje się i do przykrych wrażeń.

(d. c. n)

Przegląd literacki.

Świat i dzieci czyli nauka o rzeczach, wyłożył metodycznie *August Jeske*. Część I. z 15-ma tablicami kolorowanemi. Warszawa (bez roku) w 4-ce str. 88.

Grzeczne dziewczynki przez *hr. de Segur*, wolny przekład z francuzkiego, ozdobiony 19-rycinami. Warszawa 1873 w 8-ce str. 359.

Młodość sławnych ludzi przez *Eugeniusza Müllera*. Przekład *Jana Chęcińskiego* z 23 rycinami. Warszawa 1873 w 8-ce str.337, oprócz spisu rzeczy.

Niechętni, czy też interesowani przyznać muszą, że szereg wydanych przez pana Jeskiego książek pedagogicznych wielkiej jest doniosłości i zasługuje ze wszech miar na wdzięczne uznanie ogółu. Tymczasem nauczyciele i nauczycielki młodziutkiego pokolenia okazują względem tego wydawnictwa pewną niczem nie usprawiedliwioną obojętność, a co gorsza zupełną jego nieznajomość.

Wina tego stanu rzeczy po części spada na naszą prassę peryodyczną, która szeroko i długo rozpisując się o rzeczach obcych, o swoich zapomina. Szczegółowego a bezstronnego rozbioru pedagogicznych prac p. Jeskiego nigdzie nie zdarzyło nam się znaleźć, bo za takowe uważać nie możemy zwykłych księgarskich po dziennikach obwieszczeń.

Nie utrzymujemy bynajmniej, aby książki i książeczki wypracowane przez tego pedagoga, pomimo swojej *systematyczności i metodyczności* z góry zawsze zapowiadanej, miały być samą doskonałością, bo na to trzeba wiele warunków nie zawsze będących w możności jednego człowieka; ale otwarcie i stanowczo oświadczamy, iż w owym systematycznym kursie nauk jest rzeczywiście ład, porządek i praktyczna znajomość rzeczy. Autor, jak to już dawniej powiedzieliśmy, korzysta umiejętnie z doświadczenia obcych pedagogów, mianowicie niemieckich, łącząc z niem postrzeżenia swojej własnej praktyki. Niebardzo jednak przypada do smaku publice naszej ciągle popisywanie się z nazwą *poglądowej nauki*, nazwą nową wprawdzie, ale oznaczającą rzecz starą, od dawna znaną, chociaż niezawsze praktykowaną.

Otóż w dalszym ciągu poglądowego systematu, p. Arct, księgarz z Lublina, puścił w świat książeczkę większych rozmiarów, ozdobioną obrazkami kolorowanemi i zatytułowaną „Świat i dzieci."

Jak wszystkie prace p. Jeskiego, tak i obecna, więcej jest przeznaczoną dla uczącego, niżeli uczącego się, co, mówiąc nawiasem, stanowi jedną z przyczyn opóźniających ich rozpowszechnienie, bo każdy nauczyciel lub nauczycielka, zwykle porządną dozą zarozumiałości upasażeni, sami chcą być wyrocznią dla swoich wychowańców, i bynajmniej nie myślą kierować niemi według rad obcych, których z książki dopiero uczyć się trzeba.

„Świat i dzieci" nie jest zwyczajną książką z obrazkami, na któreby się zaciekawione dzieci popatrzyły, a potem w kąt rzuciły, jak to się dzieje po większe części z publikacyami obrazkowemi dla dzieci przeznaczonemi. Obrazki są tu wprawdzie dla dzieci, ale tekst do nich obchodzić tylko może matki i nauczycielki, które w nim znajdą wskazówkę, jak się rozwijają wrodzone zdolności dziecka, czytać jeszcze nie umiejącego. Instrukcye te są wyborne, trafne, zręcznie wypowiedziane, szczegółowe aż do przesady, której wszakże za złe autorowi nie bierzemy, bo powiedziawszy wszystko, co można wyciągnąć z danego przedmiotu, pozostawia woli uczącego, którego zastosowania użyć, a które pominąć, mając zawsze na względzie otoczenie i usposobienie dziecka. Nie przesadzimy wcale, jeśli powiemy, że obejrzane i spożytkowane, według wskazówek autora, obrazki tej książeczki uczynią niezbyt nawet pojętne dzieci, rozgarniętemi i dostatecznie uzdolnionemi, a co większa zachęconemi do dalszej nauki. Nauka czytania stanie się wtedy prawdziwą rozkoszą dla dziecka.

Tablic jest tu pietnaście, a każda z nich mieści po kilka obrazków, o których znajdujemy w odpowiednim tekście najprzód *pogadankę* przystępnie, lekko, a często dowcipnie wypowiedzianą, potem tak zwane *ćwiczenia praktyczne*, zawierające: pytania, wierszyki (niezawsze szczęśliwe), powiastki, zagadki i t. d. Łatwo się domyślić, co stanowi najbliższy świat dziecka: dom i rodzina, dzieci, ogród, szkoła, miasto i wieś, ptastwo domowe, nieprzyjaciele drobiu, konie, krowy i kozy, owce, lis i wilk, wody, las, stanowią też *część pierwszą* tej publikacyi.

Co do obrazków, chociaż widocznie są pochodzenia zagranicznego, i nieszczególnie kolorowane, mają jednak to do siebie, że ściśle zgadzają się z tekstem, czy też tekst do nich trafnie zastosowany, co już stanowi rzecz podrzędną, gdy główna jest zachowaną, bo porządek i harmonia między niemi w niczem naruszony nie został.

Na zakończenie naszych uwag, radzilibyśmy matkom i nauczycielkom, które kupią tę książkę, aby nie zostawiały jej w ręku dzieci, lecz miały u siebie schowaną, i za każdym razem, gdy zechcą nią zabawić swoich wychowańców, pierwej same starannie tekst odczytały, a lepiej jeszcze wyuczyły się go na pamięć, gdyż samo czytanie nie sprawi tego wrażenia, co żywe słowo, zwłaszcza gdy obrazki wciąż będą na widok wystawione.

Grzeczne dziewczynki hr. Segura, stanowią bardzo zajmującą książkę, ale tylko dla dzieci bogatych rodziców, ubogim dzieciom więcejby szkody, niż korzyści przyniosły, bałamucąc ich wyobraźnią obrazami niezwykłego dostatku i bogactwa. Tendencya tu piękna, bo w miłości bliźniego mająca swe źródło. Język poprawny, chociaż zeszpecony licznemi błędami ortograficznemi. Wolny przekład nie powiem, aby tu był dobrze zrozumiany i na swojem miejscu użyty, bo pomimo polskich nazwisk, pokładzionych w miejsce francuzkich, pomimo pewnego silenia się, aby wmówić w młodego czytelnika, iż rzecz dzieje się u nas, zwyczaje, stosunki z ludźmi, miejscowe wypadki tak tu są różne od naszych, że przy czytaniu jedno z dwojga nastąpić musi: albo dziecko da się oszukać i nabędzie fałszywego wyobrażenia o otaczającym go świecie, albo pozna się na mistyfikacyi i zniechęci do książki. A szkoda, bo dzieło wcale nieźle napisane, strona psychiczna młodych paniątek wybornie nakreślona, i cały szereg drobnych wydarzeń zręcznie ułożony.

Daleko większej wartości, a może jedną z najlepszych książek, jakiemi rok zeszły dzieci udarował, jest *Młodość sławnych ludzi* E. Müllera w przekładzie Chęcińskiego. Pomysł szczęśliwy i płodny w następstwa, gdyż zawsze silniejsze czynią wrażenie przykłady, niż same słowa.

W książeczce tej znajdujemy mnóstwo szczegółów, troskliwie zewsząd zebranych, a dotyczących dzieciństwa i młodości ludzi, którzy się odznaczyli bądź w naukach i sztukach pięknych, bądź w filantropii i życiu społecznem. Ciekawe są tu pogadanki, w których mowa o tak zwanych *cudownych dzieciach* i o takich, które były leniuchami i niedołęgami, a wyrosły na zdolnych i pożytecznych ludzi. Dzieło E. Müllera mając wielkie podobieństwo do „Samopomocy" Smilesa, też samą ma ujemną stronę, że podając jedne po drugich szkicowe życiorysy i mieszając je z sobą, zacierają sprawione wrażenie i nigdy nie dorównają temu, jakie czyni jedna dostatecznie rozwinięta bio- lub autobiografia. Ogólniki bowiem, albo dowcipne słówka tej lub owej znakomitości rychło się zapominają.

Pomimo tej niedogodności, której zapobiedz można, czytając książkę z pewnemi przestankami i z należytą uwagą, *Młodość sławnych ludzi* budzi wielkie zajęcie i niejedno rzucić może w duszę czytelnika ziarno, które z czasem bujny plon wyda.

Robimy tu maleńką uwagę.

Książka ta, jak i poprzednia, wydane nakładem zasłużonej i wciąż zasługującej się firmy PP. Gebethnera i Wolffa, drukowane były za granicą, odznaczają się też pięknym drukiem i papierem, ale za to przepełnione są mnóstwem grzechów przeciwko pisowni. Korrektor, widocznie cudzoziemiec, pomimo swojej pilności strzelił kilka takich bąków, którychby krajowiec nigdy sobie nie pozwolił. Przypominamy tu, że ślepe trzymanie się rękopisu, często z pośpiechem dokonywanego, nie stanowi jeszcze przymiotu dobrego korrektora, bo to, coby sam autor, czytając w odbitce swoją pracę, z chęcią usunął, jako proste *lapsus calami*, korrektor-maszyna ściśle zachowuje. W „młodości sławnych ludzi" język i styl Chęcińskiego jak zwykle lekki i obrazowy, narażony został na usterki ortograficzne wcale dlań nieprzyjemne. Ot, choćby pisanie wciąż: dwÓnastu, dwÓdziestu, i t. d. przez *o* kreskowane, albo też zamieszczanie słowa razem z przeczącym przysłówkiem *nie*. nigdyby miejsca nie miało, gdyby dzieło się drukowało pod okiem tłómacza lub dobrego korrektora.

Zagraniczna robota może mieć swoje dogodności, nie przeczę, ale też i na wiele niedogodności naraża.

J. Pracki.

Do dzisiejszego numeru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066k (23). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.